

**OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE
W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY**

**Wywiad ze Stanisławą TRAJKOWSKĄ
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego
w Lubinie, dn. 16 lipca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski. Jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badania zatytułowane "Ostatnie ofiary stalinizmu" i „Ocalmy od zapomnienia”. Celem badania jest zebranie świadectw osób będących ofiarami represji okresu 1945-1989 ze szczególnym uwzględnieniem okresu stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu oraz kamery.

Czy mogłaby się Pani przedstawić?

Nazywam się Stanisława Trajkowska.

Gdzie i kiedy się Pani urodziła?

Urodziłam się 25 stycznia 1952 roku we Wrocławiu.

Chciałbym porozmawiać chwilę na temat historii Pani rodziny. Kim byli Pani rodzice, jaki wykonywali zawód, gdzie pracowali?

Moja mama nie pracowała, tata pracował.

Mama wychowywała dzieci?

Tak.

A tata gdzie pracował?

To było tak dawno...

Ale był pochodzenia chłopskiego, czy robotniczego?

Robotniczego. Pracował w rafinerii koło Jasła. Chyba w Jedliczach.

Czy ma pani jakieś rodzeństwo?

Tak, liczne...siedmioro nas było.

Gdzie Państwo mieszkaliście?

W latach siedemdziesiątych w krośnieńskim, a potem już tutaj w Lubinie. Tutaj były lepsze warunki.

Czy Pani rodzice byli w PZPR albo innej organizacji?

Nie!

Czy mogłaby Pani wskazać wartości, które były szczególnie ważne w rodzinie: patriotyczne, katolickie...?

Może bardziej katolickie. Byliśmy wierzący i praktykujący.

Czy była Pani zaangażowana w jakąś działalność społeczną, bądź opozycyjną?

Nie, nie miałam na to czasu. Wychowywałam dzieci.

Kiedy Pani poznała męża, kiedy się pobraliście?

Męża poznałam w 1972 roku w Lubinie. Mąż pracował najpierw w Transbudzie, potem poszedł do Instal. Ale to już było jak wyszedł z wojska. Bo służył w marynarce. Założyliśmy rodzinę i urodziły się dzieci. Jedno, drugie, trzecie... Czwartego już nie doczekał, bo zginął.

Proszę mi powiedzieć, jaka była droga Pani męża do roku 1980. Czy działał w jakichś organizacjach społecznych, opozycyjnych? Czy dopiero jak powstała Solidarność wtedy zaangażował się w związek?

Od roku 1980. Ale nie był działaczem, bo nie miał na to za wiele czasu. Był szeregowym związkowcem. To był związek w Instal- dyrekcja we Wrocławiu. To był duży zakład instalacji przemysłowej.

Przejdźmy teraz do okresu stanu wojennego. Mieszkaliście Państwo w tym samym miejscu...?

Tak, przez cały czas. Ja na początku zajmowałam się tylko dziećmi, potem, jak mąż zginął dostałam rentę.

Czym było dla Pani rodziny wprowadzenie stanu wojennego?

Tragedią! Mąż bardzo to przeżył. Odczuwaliśmy strach i niepokój, co będzie dalej. No i stała się wielka tragedia w tym stanie wojennym. Nieodwracalna... Akurat nas spotkał taki cios w tym stanie wojennym...

Proszę opowiedzieć, co się stało 31 sierpnia 1982 roku?

Mąż przyszedł z pracy i mówi, że wychodzi, bo jest manifestacja w Lubinie. To była gdzieś piętnasta godzina, chyba wtorek. Pamiętam, że ten drugi synek za nim płakał. Ja mówię: „Nie idź, bo różnie może być.”. A on powiedział: „Jestem Polakiem i będę walczyć.”. Ja mówię: „Nie wychodź, bo jakoś niebezpiecznie to wygląda.”. Ale on poszedł. Gdzieś tak o 16-tej wraca sąsiadka z miasta i mówi, że tam ludzie zginęli. Ale nawet mi przez myśl nie przeszło, że pierwszą ofiarą był mój mąż. Czekam, godzina 17-ta, 18-ta. Nie ma. Zaczęłam szukać po sąsiadach, którzy pracowali z mężem. Pytam jednego, czy widział Andrzeja. A on mówi: „Nie, umawialiśmy się, ale w tym tłumie jakoś nie mogliśmy się spotkać.”. Wracam do domu, czekam, ale nic. Godzina 22 minęła, czyli godzina policyjna i nic. Rano dopiero wyszłam do miasta i pierwsze kroki skierowałam na milicję, żeby zapytać, co się tam stało. Czy może mąż nie jest aresztowany, bo dużo było aresztowanych w tym czasie. Poszłam na dyżurkę, do okienka i pytam, czy jest taki a taki. A oni mówią, że nie ma. A mąż już nie żył i oni o tym wiedzieli. Wracam przez miasto, spotykam znajomą i mówię, że szukam Andrzeja, bo od wczoraj go nie ma. A ona mówi: „Idź do szpitala, bo dużo było rannych!”. No to idę do szpitala i pytam. A oni odpowiadają: „Proszę poczekać, aż przyjdzie lekarz.”. Czekałam może z pół godziny, przyszedł lekarz i zapytał, kto ja jestem. Więc odpowiadam, że żona. A on poprosił o dowód i przez jakąś chwilę nie mógł słowa wypowiedzieć. A potem zapytał: „Czy Pani wie, że mąż nie żyje?”. A milicja nic mi nie powiedziała. Okazało się, że milicja pojechała na zakład, żeby tam powiadomić [o tym, co się stało], ale kierownik w Instal. im odpowiedział, że to się przecież nie stało w pracy, więc nie do niego należy sprawa. Zaczęli podobno krzyczeć na kierownika, ale ja już właściwie wiedziałam, że coś jest nie tak, bo przecież szukałam go w mieście już od piątej rano. Kierownik przyszedł do mnie dopiero po pracy, gdzieś ok. piątej po

południu. Sąsiadka mówiła, że mnie szukał, ale mnie już tu nie było, bo byłam u mamy z dziećmi. Nie byłam w stanie nic zrobić, ani myśleć.

Miała Pani wtedy trójkę dzieci i czwarte w drodze?

Tak. Córka najstarsza urodzona w 1975, druga córka w 1976 i syn w 1980. Syn miał dwa lata jak tato zginął.

I co się później działo? Widziała Pani ciało męża?

Nie widziałam. Dopiero potem przy pogrzebie, jak go odbieraliśmy. Tragicznie wyglądał.

Czy ktoś w tym czasie Pani pomógł? Jaka to była pomoc i kiedy świadczona? Do pogrzebu, po pogrzebie...?

Raczej sama byłam.

A ze związku ktoś się pojawił?

Tego pierwszego dnia nikt. W pierwszy dzień byłam sama, u rodziców. Potem przychodzili. Pomagali, nie powiem. Dużo paczek z zagranicy dostawałam. A w 90 roku wszystko się urwało. Było coraz gorzej. Poszłam do pracy, bo ten najmłodszy syn chodził już do 5 klasy, odchowany był, a renta cienka.

Czyli, do 90 roku utrzymywała się Pani z renty i pomocy Solidarności? A gdzie Pani podjęła pracę?

Pracowałam w kuchni. Dopiero rok temu poszłam na rentę.

Jak Pani ocenia tragedię, która się wówczas wydarzyła? Jakie trwałe skutki miała ona dla Pani rodziny?

Do tej pory odczuwam to tak, jakby się dzisiaj wydarzyło. Brak mi męża. Miałabym w nim oparcie. To nieodwracalna krzywda. Tęsknię za nim. Wszyscy o nim pamiętamy. I mam żal do tych, którzy mu zrobili krzywdę. Za mała jest kara dla tych, którzy mordowali ludzi w stanie wojennym. Stanowczo za mała jest dla nich kara.

Może Pani powiedzieć jak wyglądał proces tych, którzy mordowali?

No, przecież po pół roku sprawę umorzyli. Tak jakby zwierzęta zabili, a nie ludzi. Przyszło umorzenie i tyle.

A do sprawy powrócono dopiero po roku 1989?

Tak, dopiero wtedy ruszyła sprawa.

I czym się zakończyła?

No, ostatnio były wyroki skazujące. Rok temu, w sierpniu. Ale ten morderca dalej się odwołuje. Ten Maj, który dał rozkaz strzelać do ludzi w Lubinie. Ja to bym go powiesiła. Co to jest trzy i pół roku za ludzkie życie. I jeszcze się odwołuje.

A oprócz niego jeszcze ktoś dostał wyrok?

Drugi taki Garus z Legnicy i zomowiec Jarocki. Oni odsiadują. Ale Maj ciągle kombinuje, żeby nie siedzieć, że niby chory... A to i tak mały wyrok. Kogo to obchodzi, że on chory. Ja bym go powiesiła. Ja mu nigdy nie podaruję i nie przebaczę, bo ja dosyć się nacierpiałam sama z dziećmi. Nikomu nie można życia odbierać w taki bestialski sposób.

A czy w latach 80, po śmierci męża doświadczyła Pani jakichś przykrości ze strony milicji czy władz?

Oczywiście! W każdą rocznicę mnie nachodzono w domu, na cmentarzu. Rozwalili mężowi pomnik na cmentarzu, kradli kwiaty, znicze. Nikomu nie pozwalali się zbliżyć do grobu. A sama byłam legitymowana na cmentarzu. Pytali kim jestem i co tu robię. Jak odpowiadałam że jestem żoną, to jeszcze jakoś pozwalali mi tam być. A jak składaliśmy kwiaty w tym miejscu, gdzie mąż zginął, (bo co roku się składało) to kazali mi te kwiaty podnieść. Z synkiem w wózecku byłam i mówię, że nie podniosę. To on dzwoni na milicję. Podał moje nazwisko i ktoś mu powiedział, że ja jestem żoną. Jak odeszłam to on kopnął te kwiaty i wrzucił je do kubła. Na co ich było stać! Dokuczali mi do 90 roku. Dopiero od 90 roku miałam spokój.

Jak dokuczali? Nachodzili Panią? Rewizje robili?

Rewizje nie, ale pytali, kto do mnie przychodzi i czy mi pomaga. Odpowiadałam: „Nie wasz problem, kto do mnie przychodzi i czy mi pomaga.”. Ktoś może donosił, że tu przychodzą ludzie z Solidarności.

Czy dziś Pani spotyka tych, którzy wtedy, w tamtych czasach Panią męczyli? Milicjanci, ubecy- czy oni tu jeszcze mieszkają?

Widuję ich czasem. Wtedy nieraz ich odganiałam od drzwi. Mówiłam: „Proszę odejść, bo nie odpowiadam za siebie i zasypię oczy solą.”. Jak się do nich ostro zwróciłam, to przez jakiś czas nie przychodzili, ale na cmentarz to zawsze... Ściągali ulotki, jak ktoś je tam położył. To oni nie pozwolili, żeby na rocznicę stał pomnik. Zastraszili kamieniarza. Nawet to ich bolało. Nie dość, że taką krzywdę zrobili. Nigdy bym nie pomyślała, że komunistów na takie gesty stać. A wie Pan, co najbardziej boli? Jak swój swojego... Obcy, wróg jak krzywdę zrobi, to inaczej się patrzy. Ale brat brata to wstyd i hańba nie do przebaczenia. Żeby Polak do Polaka, to najbardziej boli.

Jak Pani ocenia zmiany, które się dokonały po roku 1989? Czy zmieniło się na lepsze, czy na gorsze? Czy czuje Pani żal, czy ma Pani satysfakcję?

Nie odczuwa się że jest lepiej, bo Solidarność się podzieliła, a nie powinna. Musi być jedność, tak jak kiedyś było. Jedni w jedną stronę ciągną, drudzy w drugą. Nie idzie to prostą drogą, tak jak powinno. Ten związek- tak jakby był, a go nie ma. Nie ma do kogo iść. Każdy coś obiecuje, ale to na wierzbie gruszki.

Czy te kontakty z ludźmi Solidarności trwają do dziś?

Z niektórymi tak!

Porozmawiajmy przez chwilę o Pani obecnej sytuacji. Czy mieszka Pani sama?

Z synem.

Dzieci już się usamodzielnily?

Jeden syn się ożenił, córka też, mieszkają w Lubinie, a jedna córka mi zmarła dwa i pół roku temu.

Jak Pani sobie radzi finansowo?

Mam tę rentę, ledwo, ledwo...Syn zarabia. Nie jest wesoło. Zwracałam się do byłego premiera o rentę, ale mi odpisali, że mam dzieci i dzieci powinny mi pomagać. Chciałam, żeby za tę rentę można było godziwie żyć. Pisałam, żeby mi powiększyli, bo jest za mała. Powiedzieli, że jest wystarczająca. Dostałam do teraz na piśmie. Tak że nie ma z kim rozmawiać.

Czyli odczuwa Pani żal?

Tak. Jakbym miała męża zupełnie inaczej bym żyła. Ludzkie życie nie ma ceny. Odszkodowanie dostałam, ale tylko na czwórkę dzieci. A na mnie nie, bo powiedzieli, że mnie się nie należy.

Kiedy to było?

W 1990 roku. Nie chciałam ich brać, powiedziałam, że poczekam. Ale powiedzieli, żeby brać, bo „może Pani w ogóle nie dostać”. Zdecydowałam się. Pomyślałam: „Niech chociaż dzieci dostaną!”. Fakt, że płacili mi na raty. Na każde [z] dzieci co jakiś czas. To było jakieś porozumienie Solidarności z ministerstwem. Zgodzili się płacić odszkodowanie bez żadnej sprawy. Może gdyby człowiek założył sprawę, byłoby tego więcej. Ja w tym kierunku myślałam, ale mnie przekonali. Pomyślałam sobie, że każdy grosz się liczy.

Czy utrzymuje Pani kontakt z innymi żonami poległych?

Tak, ale one się za bardzo nie udzielają. Ja zawsze starałam się być na każdej sprawie, gdzie mogłam tam być.

Dziękuję za rozmowę.

Dziękuję.